

# ZNANI I NIEZNANI

## RYSZARDA HANIN



Fot. CAF — M. Kłoś

Początki Pani kariery scenicznej związane są z Teatrem I dywizji im. Tadeusza Kościuszki w Sielcach?

Tak. Był to dla mnie bardzo piękny okres. Ale od tego czasu minęło 30 lat mojego życia „pozawojkowego”.

Jako aktorka, już z „papierkiem” stawiałam pierwsze kroki pod opieką Leona Schillera w Łodzi. W 1948 r. zabrał mnie on ze sobą do Teatru Polskiego do Warszawy, gdzie grałam aż do czasu utworzenia Dramatycznego. Tutaj jestem do dzisiaj z dwuletnią przerwą, kiedy wróciłam na krótko do Polskiego.

Oglądaliśmy Panią w telewizyjnym filmie „Gra”, jak układa się Pani współpraca z tą instytucją?

Czuję do telewizji duży sentyment. Dała mi szansę zagrania kilku naprawdę ciekawych ról. Od razu, w pierwszej sztuce „Oni wiedzą co to jest miłość” — a działo się to kilkanaście lat temu — kazano mi się mocno postarzeć. Grałam wów czas 80-letnią amantkę, obok Bardiniego, który był Berliozem, po latach tułaczki powracającym do swojej ukochanej.

Często gra Pani role matek, kobiet starszych, którym życie nie szczędzi ciężkich doświadczeń i które borykają się z losem.

To jest dobra szkoła, nie każe się upierać, zwłaszcza kobiecie — przy młodości. Role ludzi starych są poza tym ciekawsze, bogatsze. Często pytają mnie, czy nie czuję się zaszklana. Odpowiadam, że nie — matki są przecież tak różne, staram się nie powielać tych ról, podchodzę do każdej z nich indywidualnie.

Wspomniała Pani o wymarzonych rolach — jakie to były i są?

Przede wszystkim postacią z Czechowa, chociaż w jednym wypadku udało mi się marzenie zrealizować — Sonia w

„Wujaszku Wani”, przedstawieniu Teatru Polskiego, w którym grałam obok Różyckiego, Barszczewskiej, Świderskiego, Mileckiego i innych znakomych aktorów. Teraz przestałam marzyć. Zresztą nie zawsze marzenia bywają słuszne. Najtragiczniejsze jest kiedy aktor zagra tę swoją wymarzoną rolę, a ona okaże się kłęską, a i tak się zdarza.

Skoro wspomniła Pani o Czechowie — wydaje się, że często Pani gra w sztukach rosyjskich i radzieckich?

Rzeczywiście tak jest, np. w „Tragedii optymistycznej” byłam komisarzem, grałam Larysę w „Irkuckiej historii”, którą niedawno reżyserowałam w Szkole Teatralnej jako musical. W czasie prób daliśmy jej podtytuł „East Side Story”.

Niezbyt często oglądamy Panią na ekranie?

Kiedyś grałam często w polskich produkcyjniakach, „natrzaskałam” tych norm tysiące. Były to role szeleszczące papierem, ale nauczyłam się przy nich pracować. Taką postacią jest trudniej zagrać niż rolę dobrze napisaną. A film raczej się mną nie interesował. Ostatnio ciekawą dla mnie postacią była matka schizofreniczki w „Drzwiach w murze”. Doskonale współpracowało mi się ze Stanisławem Różewiczem i cieszę się, że ten film zdobył Srebrną Muszlę na festiwalu w San Sebastian.

Chciałabym zapytać o Pani satysfakcje zawodowe?

Zawód aktora jest ciężki, wymagający kondycji nie tylko fizycznej ale także psychicznej, odporności na wszystkie gorycze, stressy, niepokoje, a tego jest 80 proc. Zostaje więc 20 proc. są to przebliski sukcesu, powodzenia, radości z udanej roboty, ale jeżeli aktor to ma na swoim koncie — może powiedzieć, że osiągnął pełnię szczęścia zawodowego.

Danuta ORLIK